

Kornel Makuszyński

**AWANTURA
o BASIĘ**

MARGINESY

COPYRIGHT FOR THE AFTERWORD © BY Joanna Olech
COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

OPOWIEŚĆ TĘ, TAK PRAWDZIWĄ jak wiosna i tak pełną | 5
radosnych uśmiechów jak pogodny dzień, musimy – z serdecznym żalem serca – rozpocząć wspomnieniem zdarzeń bolesnych i smutnych. Jak spoza ciężkich, czarnych, burzliwych chmur słońce wreszcie jasną smugą wytryśnie i ozłoci ślady klęski i zniszczenia, tak i w tej opowieści przewalić się muszą chmury przez pierwsze stronicie jak przez czyste obszary nieba. Jak w życiu, jak w życiu... Jedna szczęśliwa godzina rodzi następną, znaczoną łzami, aż smutek zelżeje i znowu jasną godzinę przywoła. Nie cenilibyśmy radości, gdyby była wiecznotrwała i snuła się nieprzerwanie. Gorycz bólu i dotkliwość cierpienia tym słodsza nam czynią radość, co się zjawi. Nie byłoby radości bez smutku. Nikt by nie wiedział, że to radość właśnie. Tym skwapliwiej witamy dzień, że przed nim snuła się mroczna, oślepla noc.

To, co zdarzyło się przed rozpoczęciem tej niezwyklej historii, było nocą, smutkiem i śmiertelną przygodą. Ponieważ serce nasze drży jeszcze na wspomnienie tego, co się

stało, opowiemy krótko o wszystkim. Wystarczy niewiele słów, a każde będzie miało kształt lży.

6 | Nigdy nie można było odgadnąć, kim była młoda pani w żałobnej sukni, wiodąca za rękę małą, może pięcioletnią dziewczynkę. Wsiadła z pociągu na węzłowej stacji kolejowej, po której w różne strony czołgały się pociągi jak olbrzymie gąsienice. Świadkowie opowiadali, że spieszyła się bardzo, pragnąc zdążyć do bufetu, gdzie chciała nakarmić dziewczynkę; mówili inni, że w czasie podróży była dziwnie milcząca, a w dużych jej oczach znać było niepokój; wiozła roześmiane dziecko i jakąś wielką zgryzotę. Samotne kobiety w czerni nie wędrują zazwyczaj ze szczęściem w sercu. Nikt nie umiał powiedzieć wiele więcej o tej smutnej pani, bo chociaż współtowarzysze podróży odznaczają się nadmierną ciekawością, jej nie zadawano pytań. Jej blada, piękna twarz i oczy zamglone, jakby w pustkę patrzące, onieśmiały ludzi. Przysłuchiwano się jej rozmowie z dzieckiem, która była właściwie nieustanną gadaniną dziewczynki przerywaną rzadko jej cichym słowem: „Tak, Basieńko!” albo: „Nie, moja maleńka!”. Ostatnie jej powiedzenie, które słyszano, było zapowiedzią, że na najbliższej stacji dziewczynka dostanie mleka. Zaraz potem zdarzyło się nieszczęście. W skisłym, zadeszczonym mroku wieczornym pani ta zły obrała kierunek, być też może, że zamyślona, nie zdawała sobie sprawy, że wychodzi z pociągu przez drzwi niewłaściwe. O Boże miłosierny! Jak grzmot po ziemi się toczący, jak zwierz straszliwy, dudniący straszliwością żelaznego zgiełku, wypadł z mroku pociąg. Kobieta w czerni ostatnim, okropnym wysiłkiem zdołała odrzucić dziewczynkę...

Odmówmy wszyscy cichutko modlitwę za bohaterską matkę, co ostatnim ruchem wyrwała swoje dziecko śmierci jak tygrysowi.

– Prędko! Ołówka i kawałka papieru! – zawołał duszonym głosem lekarz, blady ze wzruszenia.

Marszcząc czoło, jak gdyby chciał sobie dokładnie przypomnieć zasłyszane słowa, pisał coś na kartce, którą podał urzędnikowi.

– To zdołała wyszeptać – rzekł głucho.

– Jakiś adres?

– Tak. Tam należy skierować dziecko. Biedna maleńka... | 7
Gdzie ona jest?

– W drugim pokoju.

– Co robi?

– Nie rozumie, co się stało... Wciąż pyta o matkę.

– Chodźmy tam do niej – rzekł bardzo cicho.

Dziewczynka spojrzała na wchodzących jakby zdziwiona, że wśród nich nie było matki. Siedziała na krześle, odziana w niebieski płaszczyk. Spod miękkiej czapeczki wymykały się jasne, krótko przystrzyżone włoski. Gdyby nie sukieneczka, można by mniemać w pierwszej chwili, że to jasnooki, puciołowaty chłopczyk.

Trzech panów, jakby onieśmielonych, zatrzymało się przy drzwiach, które szybko za sobą zamknęli, a lekarz zbliżył się do dziewczynki. Patrzył na nią długo i długo nie przemawiał, jak gdyby słowa nie mogły przecisnąć się przez jego gardło. Wreszcie położył rękę na jej główce i lekko ją pogładził.

– Jak ci na imię, maleńka?

Dziewczynka spojrzała na niego zalękłym spojrzeniem i nie odpowiedziała.

- Nie bój się, kochanie - mówił lekarz drżącym, miękkim głosem. - My wszyscy bardzo cię kochamy... Bardzo, bardzo... Pewnie się nazywasz Marysia?

- Nie Marysia... - odpowiedziała cichutko.

- Więc Jadzia?

- Jadzia też nie...

- Może Basia?

Dziewczynka się uśmiechnęła.

8 | - Tak, Basia, nazywam się Basia.

- A jak dalej?

- Dalej nie wiem. Mamusia wie. Niech pan zawoła mamusię!

Lekarz przymknął oczy.

- Basińko kochana... - zaczął mówić z trudem. - Twoja mamusia. Och, jaki Basia ma śliczny płaszczyk! A jakie włoski...

- Jak chłopczyk! - oświadczyła z powagą dziewczynka. - Mamusia mi obcięła.

- Tak, tak... - Pochylił się nad nią i otoczył ramieniem. - Posłuchaj, Basińko... Twoja mamusia odeszła...

- Ale zaraz przyjdzie?

- Nie, maleńka. Już nie przyjdzie...

- Czemu nie przyjdzie? Ja chcę spać!

- Bo twoja mamusia poszła daleko, bardzo daleko...

- Czemu daleko? Gdzie to jest daleko?

- Poszła aż do nieba...

- Teraz przecie ciemno - mówiła dziewczynka, patrząc na niego podejrzliwie.

Lekarz stropił się i nieporadnie rozłożył ręce. Tak można było wieść z dzieckiem rozmowę bez końca. Tarł ręką czoło i w ten starodawny sposób wygrzebał w stroskanej głowie myśl bardzo rozsądną.

- Zatelefonuję po żonę - rzekł do trzech panów przy-
słuchujących się w milczeniu.

Nie upłynęło pół godziny, a pani doktorowa znalazła się na miejscu smutnych wypadków. Objasniona zwięzłym szeptem o nieszczęściu i niedoli dziecka, załatwiła sprawę ze wzruszającą prostotą.

| 9

- Pójdziemy spać, maleńka! - rzekła do Basi głosem sprytnie udającym głos bardzo wesoły.

Dziewczynka dała znać uśmiechem, że nie mogąc dojść do ładu z jąkającym się mężczyzną, chętnie i bez protestów gotowa jest do gorącej przyjaźni z tą panią, odzianą podobnie jak jej matka.

Serduszko wiedziało o tym, że to ktoś inny i ktoś obcy, senne spojrzenie jednak nie umiało już dać sobie rady z mglistością zarysów. Pani doktorowa, kobieta zażywna i energiczna, czerstwością zdrowia zaszczyt przynosząca lekarskiej sztuce męża, wzięła ją na ręce i ze wzruszającą tkliwością przytuliwszy do piersi, wyniosła z kolejowego budynku.

- Śpij, biedactwo - szepnęła, patrząc na dziecko.

Z niesłychanym zasobem miękkich słów, porównań, przenośni i przykładów, z całym arsenałem sposobów,

znanych jedynie kobiecemu sercu*, zdołała nazajutrz wyjaśnić dziewczynce, że jej matka nigdy już nie powróci. Basia pojęła tylko tyle, że ją okropnie skrzywdzono, o czym oznajmiła długim płaczem. Pani doktorowa usiłowała scalać łzy z jej oczą, co musiało być pracą uciążliwą, gdyż i w jej oczach zaczęły się one gromadzić, gwałtowne i niepowstrzymane. Dwie kobiety płakały cichutko, przytulone do siebie tak, że nie można by powiedzieć dokładnie, do której z nich dana łza należy.

10 | Innych jednak rzeczy też nie można było odgadnąć. Najściślejsze poszukiwania do niczego nie doprowadziły; nie znaleziono żadnych dokumentów w torebce nieszczęśliwej kobiety, a w wagonie żadnych walizek ani zawiniątek. Najrozsądniejsze wydawało się przypuszczenie, że albo ją w drodze okradziono, albo biedna ta pani, głęboko jakąś troską przejęta, pogubiła to, co ze sobą wiozła. Wiele słuszności mogło tkwić w przypuszczeniu, że jechała tam, gdzie ją wszystko oczekiwało. Nie znaleziono ani świstka papieru, tylko niewielką ilość bezimiennych pieniędzy i bilet kolejowy do Warszawy.

– Jakieś nieszczęście gnało tę nieszczęśliwą – mówił lekarz. – Albo zapomniała o wszystkim, albo nie mogła myśleć o niczym innym. Niech ją Bóg przyjmie miłosiernie, bo bardzo musiała cierpieć. Całe szczęście, że miała jeszcze tyle sił, aby wyszeptać kilka słów.

* Czulość nie jest cechą jedynie kobiet – mężczyźni mogą się wypowiadać w sposób równie wrażliwy. (Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).

Patrzył na kartkę, na której zanotował kilka wyrazów.

- Dość znane nazwisko - mówił jakby do siebie. - Jak myślisz? - zwrócił się do żony, na której kolanach siedziała dziewczynka. - Co teraz należy zrobić?

Pani doktorowa spojrzała na Basię zamyślona. Zdawało się jej, że dziecko pojmuje roztropnie, iż o nim jest mowa, rzekła więc szybko:

- Pomówimy o tym później.

Dość niezdarłą była dyplomacja dobrej kobiety, widać bowiem było, że umyślnie odwleka chwilę rozstania się z dziewczynką. Usiłowała wmówić wszystkim, że należy czekać jakichś wieści od krewnych nieszczęśliwej pani w żałobie, którzy po przeczytaniu w gazetach wiadomości o okropnym wypadku zgłoszą się niewątpliwie, pojawiwszy z opisów, kim była ta matka podróżująca z dzieckiem. Nikt się jednak nie zgłaszał. Minęło dni kilka, a znikąd nie nadszedł ani list, ani depesza.

- Trzeba dziecko odesłać pod ten adres - rzekł lekarz. - Rzecz dziwna, że ta osoba nie zgłosiła się sama. Przecie czyta chyba gazety.

- Jeśli jest osobą rozsądną, to nie czyta - mruknęła jego żona.

- Wszystko jedno. Dziecka przetrzymywać nie możemy.

- Czy tak bardzo ci przeszkadza? To rozkoszne dziecko?

- Bynajmniej! Wcale mi nie przeszkadza. Cóż za przypuszczenie! Ty byś je, oczywiście, zatrzymała na zawsze.

- Och! Z największą radością!

- Wiem o tym, bo od kilku dni wyprawiasz prze-dziwne sztuki. Nie, moja kochana... Całym sercem do niego

przylgnałem, ale czas największy, aby je odesłać. Jutro napiszę list wedle adresu, aby Basi oczekiwano na dworcu w Warszawie, a pojutrze dziewczynka pojedzie.

– Jak to „pojedzie”? Sama?

– Do Warszawy niedaleko. Wsadzi się ją do wagonu, odda pod opiekę podróżnych, a w Warszawie ją odbiorą. Adres jest wyraźny.

– Czy nie lepiej będzie wysłać ją pocztą? – zapytała pani doktorowa z irytacją.

– W Anglii zdarzył się taki wypadek...

12 |

– Ty byś nawet mnie wysłał pocztą...

– Niemożliwe. Poczta przyjmuje pakunki jedynie do dwudziestu kilogramów. Ciężary o wadze osiemdziesięciu wysyła się ciężarowym pociągiem... – odrzekł on z powagą.

Basia, nie wiedząc o tym, że jest przedmiotem burzliwych konferencji, przebrnąwszy przez kilka dni, jakichś ponurych, rozplakanych, bardzo dziwnych i strasznych, powróciła już do swego błękitnego kraju, nad którym uśmiecha się czyste niebo. Przez kilka dni szukała matki zdziwionymi oczami i czuła trwogę w serduszkach. Wieczorem, zanim usnęła w ramionach pani doktorowej, zdawało się jej, że słyszy kroki mamusi; zdawało się jej raz jeden, że ją widzi. Potem, powoli, znana postać zaczęła się rozplątywać w srebrzystą mgłę, zamazywać i niknąć. Zwalista postura tej pani, co ją całuje i pieści, zasłoniła swoim ogromem to wszystko, co się dotąd ukazywało tuż przed jej oczkami. Znowu się na świecie uczyniło niebiesko.

Wielkie zdarzenia nie mogły się zmieścić w jej serduszkach; najmniej ją obchodziły długie narady tego pana z tą panią.

Dopiero kiedy ta pani chwyciła ją nagle w objęcia i zaczęła głośno płakać, Basia, uznawszy, że przez kobietą solidarność należy to również uczynić, beknęła też, boleśnie pochlipując. Płkanie jest taką samą dobrą zabawą jak każda inna, jeśli tylko nie trwa zbyt długo, bo to nie ma wielkiego sensu. Trochę jednak popłakać zawsze można, tym bardziej, skoro to tej dobrej pani zdaje się sprawiać przyjemność.

Łzy pani doktorowej padały jak deszcz z burzliwej chmury. Pan doktor wysłał list, dokładny, obszerny, wszystkie smutne wypadki najściślej opisujący, i prosił osobę, której Basia została powierzona, aby we środę o godzinie piątej po południu oczekiwała na dworcu, gdyż dziewczynka pojedzie sama. List był polecony, osobiście przez lekarza nadany, adres zaś podkreślony czerwonym ołówkiem, aby zwrócić uwagę poczty na jego ważność. Zachowane zostały wszystkie środki ostrożności.

– Dziecku nic się stać nie może – uspokajał żonę. – Dziecko jest nadzwyczaj roztropne i da sobie radę. A ty nie pojedziesz... Trzy razy byłaś w Warszawie. Dwa razy cię okradli, raz wpadłaś pod auto i złamałaś nogę. Teraz nie uszłabyś z życiem.

Pan doktor miał o stolicy wyobrażenie zgoła ponure.

Pani doktorowa, zamknąwszy się z Basią na tajnej naradzie gabinetowej, usiłowała jej wyjaśnić, jakie ogromne czekają ją przedsięwzięcia. Uspokajała ją wymownie, że dzieci często podróżują same, nawet na ogromnych przestrzeniach, że dziecka nikt nie skrzywdzi, a w Warszawie zajmą się nią serdecznie. Dziewczynka słuchała uważnie i nie zgłosiła żadnego sprzeciwu. Owszem, to może być zabawne.

Narada trwała dwie bite godziny; uczestnicy wyprawy do bieguna północnego mniej są przewidujący niż pani doktorowa. Omówione zostały wszystkie, nawet najmniej prawdopodobne wypadki, jak: porwanie, uspienie podróżnego za pomocą zatrutych papierosów i zepsucie się lokomotywy. Czarne słowa pani doktorowej przeleciały jak burza przez jasną głowinę i po chwili nie było z nich śladu. Jeden tylko kolorowy ptaszek polatał nad dziewczynką i śpiewał o nadzwyczajnej podróży.

14 | Dobra kobieta zaprowadziła Basię na dalekie miejsce poza miastem, gdzie rosły drzewa i krzyże, i tam kazawszy jej uklęknąć, długo do niej mówiła szeptem cudownie serdecznym. Słońce świeciło bladziłością, a czerwone liście padały z drzew z cichutkim szelestem. Basia powiedziała tak samo cichutko:

– Bądź zdrowa, mamusiu!

We środę, nakarmiwszy dziewczynkę na zapas tak obficie, jak gdyby miała przepłynąć Atlantyk, przezorna pani zawiesiła na jej szyi tabliczkę z tektury i atramentowym ołówkiem napisała na niej adres „odbiorcy”. Ofiarowała jej małą torebkę nadzianą do rozpuku cukierkami, czekoladą i wszelką słodką pociechą cielőcych lat człowieka, potem, na godzinę przed odejściem pociągu, rozpoczęła uroczystość pożegnania. Tych czułości, tych okrzyków, tych napomnień, tych łez i pocałunków, pocałunków i łez ludzkie pióro nie opisze. Małym urozmaiceniem tej ceremonii był okrzyk burzliwy, nagły, huczący i najmniej spodziewany:

– Mężu! Jeśli temu dziecku coś złego się stanie, będziesz przeklęty!

Powiedziane, raczej zakrzyknięte było to z taką mocą, że pan doktor zadrżał.

– Cóż mu się może stać, u Boga Ojca! – rzekł nie dość niepewnie.

„Wyższych dziesięć tysięcy” miasteczka w skromnej liczbie ośmiu najważniejszych obywateli podzielało rozropne to zdanie. Wprawdzie Warszawa jest miastem żarłocznym, ale dzieci tam nie jedzą. Starano się żartobliwie uciszyć niepokoje pani doktorowej i dodać jej ducha, co było niejaka przesadą, sądząc bowiem z nadmiaru cielesnej powłoki, i duch jej musiał mieć okazałe rozmiary.

| 15

Wszyscy znali niedawne dzieje dziewczynki, więc tklivość dla osieroconego dziecka, które – sądząc z żałobnego stroju jej matki – nie miało już zapewne i ojca, przywołała wszystkich dobrych ludzi na dworzec kolejowy. Brak było jedynie pana starosty i fotografa, gdyby bowiem udało się te osobistości zaangażować do zespołu zebranego na dworcu, odjazd Basi nie różniłby się niczym od uroczystego wyjazdu ministra. Sprawiedliwie jednak przyznać należy, że jeszcze żadnego ministra na świecie nie żegnało tyle łez, ile ich popłynęło z oczów pani doktorowej. Ponieważ umysły zrównoważone przestrzegają dokładnych terminów wszystkich czynności, zacna kobieta zaczęła ronić łzy o godzinie drugiej piętnaście, na kwadrans przed odejściem pociągu; przedtem postanowiła baczным suchym okiem obejrzeć wszystko, co mogło mieć związek z podróżą. Energicznym krokiem pobiegnęła w stronę dychawicznie sapiącej lokomotywy, na żelaznego potwora pobieżne tylko rzuciła spojrzenie, lecz długim i przenikliwym zajrzała w oczy maszynisty. Zdumiał

się nieco pocziwy ten człowiek, na wskroś bystrym wzrokiem, jak ostrym gromieniem, przewiercony. Potem uczynił to, co mu się wydało najrozsądniejsze: wzruszył ramionami. A pani doktorowa, dojrzawszy zapewne w jego oczach powagę, pozbawioną wszelkiej lekkomyślności i skłonności do burzliwych awantur, poczęła przebiegać wagony i zaglądać we wszystkie przedziały. Wreszcie, po długim wahaniu wybrała jeden.

16 | Nie chcemy narażać na nagłe pęknięcie ani własnego, bardzo czułego serca, ani tkliwych serc czytelników, dlatego nie opiszemy sceny pożegnania. Miało ono być wprawdzie uroczystością zbiorową, cały jednak ceremoniał pogruchołała pani doktorowa. Nie miała własnego dziecka, więc wszystką niezmierną miłość, wypełniającą jej zacne serce, chciała dać na drogę biednej dziewczynce. Wyrwała ją z każdego ramion, nikomu nie pozwoliła jej pocałować, przerywając wszystkie czułości okrzykiem: „Czy chcecie zamęczyć dziecko?” – tuliła ją i ścisłała, z nadejściem zaś właściwej pory wybuchnęła płaczem. Na własnych rękach zaniósła ją do wagonu. Otarłszy wielkie łzy, aby nie kapały na słowa, rzekła do zgromadzonych w przedziale:

– Proszę państwa! Ta dziewczynka jedzie sama do Warszawy! Sama! A dlatego sama, że jest sierotą. Adres ma na piersi, na tekturowej kartce... Jedzenie w torebce. W Warszawie po nią się zgłoszą... Proszę na nią uważać, proszę się nią zaopiekować... Niech się nie zbliża do okna! Niech się nie zaziębi! Proszę pana, aby pan nie palił papierosów! Przecież przez dwie godziny może się pan powstrzymać! O, pani ja-koś przyzwoicie wygląda... Niech pani na nią uważa... Proszę

jej nie dawać owoców, bo pewnie nieumyte, a mój mąż mówi, że o cholere łatwo... Czy mogą liczyć na wszystkich tu zebranych?!

- Dobrze, dobrze, proszę pani - bąknął ktoś w imieniu społeczeństwa.

Pani doktorowa jednakże postanowiła zastosować na wszelki wypadek lekką groźbę:

- Bo inaczej Pan Bóg by was pokarał!

Zdumiała się zebrana gromadka, lecz pani doktorowa nie zwróciła na to uwagi.

- Maleńka - zwróciła się do dziewczynki. - Ci państwo zaopiekują się tobą. Ale jedz tylko to, co ja ci dałam, i nie bierz od nikogo. Nikomu dzisiaj wierzyć nie można. Aha! Gdyby ci się chciało... - nachyliła się do ucha Basi i tłumaczyła jej coś bardzo zawile - to powiesz o! tej pani, a ta pani cię zaprowadzi. Pan konduktor! Dobrze, że pan tu przyszedł, panie konduktorze.

| 17

Uchwyciwszy go palcami za guzik od munduru, wyjaśniła dokładnie o jego straszliwej odpowiedzialności i zaklęła na wszystkie moce niebiańskie i piekielne, aby co kwadrans zajrzał do przedziału.

Zirytowany gwizd lokomotywy i nawoływania wszystkich zebranych przed wagonem dały znać pani doktorowej, że rozpoczyna się akt ostatni.

Ktoś uniósł dziewczynkę na rękach, tak że mogła wyrzucić przez okno.

Pani doktorowa chciała jeszcze krzyknąć, ale nie mogła. Coś ją dławilo w gardle, więc tylko spojrzeniem wołała tak serdecznie... tak serdecznie... Śliczna, jasna główka mignęła

tak jak błysk odbity z lusterka. Zdawało się, że ktoś postawił kwiatek za szybą wagonu.

Kiedy zachłanny las połknął pociąg, pani doktorowa stała jeszcze, patrząc spojrzeniem smutnym i jakby rozżalonym.

– Chodźmy już – rzekł lekarz.

– Przedtem jednak zażyj jakiś proszek na uspienie sumienia. Mam takie przeczucie, że posłaliśmy to dziecko na zgubę, a moim przeczuciom możesz wierzyć. Czy przed trzema laty nie powiedziałam ci, że cię spotka nieszczęście, i czy nie złamałeś wtedy nogi?

18 | – Złamałem nogę, bo na chodniku leżała pestka śliwki. Czemu nie przeczulaś, że ktoś będzie jadł śliwki? Twoje przeczucia są mizerne. Dziewczyna zajedzie zdrowa, bo ja mam takie przeczucie.

– A czemu ci, do których wysłałeś list, wcale ci nie odpisali?

– Najpierw dlatego, że są to Polacy, a Polacy mało kiedy odpisują na listy, a następnie dlatego, że nie mieli na co odpisywać.

– I Basia jedzie do takich barbarzyńców, co nie odpisują na listy! Kto nie odpisuje na listy, może równie dobrze zagłodzić dziecko albo bić je przy każdej sposobności. No! Niechby coś podobnego doszło do mojej wiadomości! Uprzedzam cię, że za jakiś miesiąc pojedę do Warszawy, aby się przekonać, co tam wyprawiają z dziewczynką. Czego ta figura chce od ciebie?

– Jaka figura? A, ten...

Z unizonym ukłonem zbliżył się do lekarza młodzian zapowietrzony omdlewającym zapachem zabójczych perfum.

– Właśnie szedłem do pana doktora – mówił z przejęciem. – Czy pan doktor nie byłby łaskaw odwiedzić babuni?

– Przecież byłem u niej onegdaj – odrzekł lekarz bez entuzjazmu. – Babunia zdrowa jak grenadier.

– Być może. Babunia jednak doszła do przekonania, że ma solitera*, bo ją bardzo mdli.

– Chyba nie soliter, tylko te perfumy – mruknęła doktorowa.

– To siedemdziesiąta siódma przypadłość w tym roku – rzekł doktor. – Więc o co idzie?

– O jakiś środek na mdłości. Babunia od dwóch dni niczego nie bierze do ust, oprócz kapusty i kawałka wieprzowiny. Czy pan doktor będzie łaskaw?

– Będę łaskaw – rzekł doktor niecierpliwie. – Czekaj pan! Zaraz panu zapiszę.

Zaczął grzebać w kieszeniach i znalazłszy jakąś kartkę, szybko na niej pisał, używszy torebki pani doktorowej jako podkładki.

– Ma pan, do następnej choroby wystarczy...

Zapowietrzony wnuk znękaney babuni wziął tę osobliwą receptę na jakiś niewinny środek i zdziwił się, że na odwrotnej stronie karteczki wypisany był jakiś warszawski adres. Pan doktor znany był jednakże z roztargnienia. A przed chwilą wydawał się jeszcze bardziej roztargniony niż zwykle.

* Inaczej tasiemiec uzbrojony – organizm pasożytny w przewodzie pokarmowym kręgowców, w tym ludzi, wywołujący chorobę zwaną tasiemczycą.